

GOSIA LISIŃSKA

# PIKANTNIE PO WŁOSKU



GOSIA LISIŃSKA

**PIKANTNIE  
PO WŁOSKU**



# ROZDZIAŁ 1

To był cholernie kiepski tydzień. Właściwie miałam za sobą kilka kiepskich tygodni. Zebrało mi się na podsumowania, więc najpierw zerwałam układ z Adrianem... Taaa, układ. Związkiem nie dało się tego nazwać, mimo że trwało przez kilkanaście miesięcy i owocowało dość częstym wzywaniem siły wyższej. Fakt, Adi był niekiepski w łóżku, ale poza nim nie miał nic do zaoferowania. Tatko wygadywał mi to średnio raz dziennie. Serio. Kiedyś wysłał takiego SMS-a: „Adrian nie ma nic do zaoferowania”. Cholera. Jak zawsze miał rację.

Zerwałam więc układ i zostałam sama. A ja serio, serio źle znoszę samotność. Zdarzyły się nawet ze dwie, trzy takie chwile, gdy sięgałam po telefon, żeby napisać do byłego. Na szczęście tatko wykasował go wreszcie z kontaktów. Taaa, tatko, mój własny, osobisty dyktator. To przez niego miałam szczególnie kiepski tydzień. Pokłóciliśmy się ostro o to, dokąd zmierza moje beznadziejne życie. Chyba mu się wydawało, że idę w ślady matki. Dobra, na pewno tym się tatko zamartwiał. No i zrobił mi układ, a że ja byłam właśnie na etapie kiepskiego znoszenia samotności, wyszło z tego jakieś małe piekiełko. To było w czwartek, więc w piątek miałam tak podły nastrój, że w ogóle nie chciałam iść na grilla. No, ale Roberto powinien tam być...

Tak, oficjalnie jestem patentowaną idiotką. Kompletną. Szaleję na punkcie gościa, który nie zauważyłby mojego istnienia, nawet gdybym włązła do jego gabinetu w samym tylko kwietnym wianku i wykonała uroczy taniec hula. Cholera.

Co więc robiłam w piątkowy wieczór nad Jeziorem Paprocańskim? Po diabła przyszłam wbijać spojrzenie zakochanego kundla w to nieosiągalne чудо? Jakoś nigdy nie podejrzewałam się o skłonności do masochizmu. A przecież byłam prawie pewna, że pojawi się Karolina. A biorąc pod uwagę, że Roberto i Karol mieli jakąś tam nie do końca skonsumowaną przeszłość i facet ewidentnie na nią leciał, mogłam spokojnie założyć, że wgapi te swoje cudne niebieskie oczy w jej idealność, a ja pocierpię. Bo pocierpię, tego byłam pewna. Nie żebym nie lubiła Karoliny. Przyjaźniłyśmy się od ósmego roku życia, a że byłam jedy-naczką, kochałam ją jak siostrę. No i rzuciła Roberto. Tak, ten nagły i szeroki uśmiech na mojej buźce to efekt myśli o odrzuconym przystojniaku. Potrzebującym pocieszenia...

Głupia Magda. Oj, głupia. Nie dalej niż wczoraj obiecałam sobie, że wystarczy szybkich numerków i związków bez przyszłości. A dzisiaj przyszłam na Paprocany i nieprzytomnie zakochanym wzrokiem wgapiałam się w to nienormalnie przystojne ciacho w obcisłych džinsach i drogiej koszuli, seksownie opinającej mięśnie przy każdym ruchu.

Chryste, Magda, weź na wstrzymanie! Ślinisz się jak Bella na widok puszki tuńczyka.

Właśnie kiedy miałam wziąć na to wstrzymanie i przynajmniej odwrócić wzrok, na polankę przy jeziorze, na której nasza gromadka paliła grilla i piła piwo, wpadł chłopak Karoliny. Serio, wpadł. Wyglądał trochę jak niedźwiedź szukający zwady. Potężny i umięśniony, z pochyloną głową, napiętymi ramionami i wściekłym wyrazem twarzy...

Cholera, ma Karolcia farta.

Jurkowski był największym przystojniakiem, jakiego znałam, dopóki nie pojawił się Roberto Moretti. Obaj próbowali zdobyć Karolinę. Pierwsze starcie wygrał Roberto, ale całą kampanię Kuba. Przynajmniej tak twierdziła Karolina do wczoraj, bo potem się trochę poprztykali. No, jak to Karol. Ciągłe wszystko przeżywa i traktuje śmiertelnie poważnie. Tatko mówi czasami,

że powinnam wziąć z niej trochę przykład. Jaaasne. Żyłabym wtedy w cnotcie latami... Zaraz, może i byłoby to lepsze?

Nieważne. W tym momencie bardziej przejmował mnie widok wściekłego Jurkowskiego niż jego panny. Bóg wie, gdzie ona tam była, bo nad jezioro jeszcze nie dotarła. Czy dlatego Kuba rzucił się na to włoskie чудо? Czy może było coś, o czym nie wiem... Nieee, Karol by mi powiedziała, gdyby zeszła się z Roberto. Ona bardzo poważnie traktowała związek z Jurkowskim. Marzyła o nim od roku. Dlaczego więc teraz Kuba szedł do mojego... dobra, trochę podkoloryzowałam, a co mi tam. Dlaczego Kuba szedł z takim wściekłym błyskiem w oczach, ewidentnie chcąc zrobić Morettiemu krzywdę?

Jurkowski krzyknął i Roberto, który dotychczas patrzył na niego obojętnie, spał się. Zrobił dwa kroki i powiedział coś, dość cicho, więc nie usłyszałam. Kuba warknął i podniósł pięść. Cholera, ma facet jaja. Startować do szefa...

Zamierzył się, ale kiedy wyprowadził cios, mniejszy i szybszy Roberto błyskawicznie się uchylił.

– Przestań! – krzyknął. Niestety Jurkowski nie wyglądał na chętnego do słuchania jego poleceń. Spróbował ponownie... Roberto znów zrobił unik. Pokręcił głową, a kiedy Kuba po raz trzeci wyprowadzał cios, Włoch znów coś powiedział.

Patrzyłam jak zakochana nastolatka, więc chociaż nie usłyszałam, co mówi, dokładnie dojrzałam moment, kiedy słowa dotarły do Jurkowskiego. Chłopak zawahał się i opuścił ręce. Czy Roberto tego nie zauważył, czy nie chciał zauważyć, grunt, że właśnie wtedy zaatakował. Uderzył niesłychanie szybko. Raz, drugi i trzeci. Głowa Kuby odskoczyła przy trzecim ciosie, a on sam zachwiał się i upadł na kolana. Moretti uniósł pięść...

Wrzasnęłam. Jakoś tak kompletnie odruchowo, a do tego ani nie słodko, ani nie dziewczęco, ale tak głośno, że pewnie sarenki w pobliskim lesie popuściły ze strachu i zwiały do Kobióra.

Roberto nie uderzył. Spojrzał na mnie, uniósł brew, a ja od razu położyłam dłoń na ustach. Włoch uśmiechnął się po-

nuro, a potem odwrócił do Jurkowskiego. Przez moment wyglądał na niezdecydowanego, ale w końcu podał mu rękę. Kuba, wciąż nieco oszołomiony, przyjął uścisk i wstał powoli. Wymienili kilka zdań, tak cicho, że chyba nawet stojący obok Grzesiek nie usłyszał.

Roberto patrzył za odchodzącym rywalem, a ja gapiłam się na niego. Nie tylko ja zresztą, ale i całe towarzystwo, zwłaszcza trzy biurwy z księgowości, które w ślinieniu się do niego przebijały nawet mnie. Chłopaki z mieszaniną podziwu i złości, bo pokonał gościa potężniejszego od siebie... no, ale w sumie był obcy i pobił ich kolegę. Laski nie miały żadnych dylematów, to był czysty zachwyty.

Włoch tymczasem spojrział na swoją rękę i skrzywił się. Nawet z tej odległości widziałam, że wciąż ledwie panuje nad gniewem. Cholera, ależ był seksowny. Rany.

Podniósł wzrok i jakoś tak napotkał moje spojrzenie. Uśmiechnął się tak jak poprzednio, raczej ponuro, a potem podszedł do mnie.

– Mocne płuca – zauważył spokojnie, rzecz jasna po angielsku, bo nasz nowy szef nie znał słowa po polsku. Wyjął z mojej dłoni piwo i wziął trzy łyki. – Jestem twoim dłużnikiem. Mogłem mu zrobić krzywdę.

– I dodatkowo wypijasz moje piwo. Wisisz mi – odpowiedziałam. Byłam, cholera, mistrzynią opanowania. Wszystko we mnie tańczyło na wariackiej karuzeli mieszanych uczuć, a na zewnątrz... no, lodóweczka.

– Wiszę – potaknął. Poruszył powoli palcami w dłoni, którą przywalił Jurkowskiemu. Wyprostował je i zgiął. Syknął przy tym i ponownie sięgnął po moje piwo. Opróżnił butelkę i odstawił na ziemię. – Znudziła mnie ta impreza. Idziesz ze mną?

O cholera!

– Gdzie?

– Do ciebie?

Zmierzyłam go leniwym spojrzeniem. Tak, wiem, że leni-

wym. Ćwiczyłam to latami, przyglądając się ojcu. Robił w ten sposób kaszanekę z mózgu co drugiej laski. Nie wiem, czy na Roberto zadziało, bo wciąż uśmiechał się tak samo. Miał jednak taki błysk w oczach, takie napięcie w mięśniach i lekko drgające jabłko Adama, że wiedziałam, że albo ja z nim pójdę, albo któraś z biurw.

A miałam się, cholera, szanować.

– Nie pamiętam, żebyś cię zapraszała – odparły resztki mojej zdychającej cnoty.

Uniósł brew w milczeniu. Supersamiec w pełnej okazałości. No, cholera, prawie posikałam się z wrażenia.

– Ale w sumie mnie też już mierzi to towarzystwo. – Tak, Magda, bądź zimna, bądź zimna. Może ktoś się nabierze. – Możesz odprowadzić mnie do domu.

– Mieszkasz niedaleko?

– Na osiedlu U. Dziesięć minut na nogach przez las.

Zmrużył oczy, jakby się zastanawiał.

– Przez las?

– No. Ten tam. – Wskazałam ręką. – Czyżby duży chłopiec bał się drzew?

– Ten duży chłopiec nie boi się niczego. Prowadź, blondasku.

„Blondasku”? Nawet mi się spodobało. Inna sprawa, że nawet gdyby powiedział „puszczalska kaczucho”, też byłabym w siódmym niebie.

No, szanowałam się... Do bólu.

Ruszyłam wydeptaną ścieżką, w pełni świadoma zazdrosnych spojrzeń biurw i obecności mężczyzny, który szedł obok mnie. Trudno nawet stwierdzić czego bardziej. W żyłach lekko szumiał alkohol z dwóch piw, a wyobraźnia szalała. Gdzieś po dziesięciu krokach serce prawie mi stanęło. Cholera! Czy posprzątałam mieszkanie?! Zaraz jednak odetchnęłam. Taaa... pożarłam się wczoraj z tatkiem, a zawsze sprzątam, kiedy się pokłócimy. Jest luz.

Szliśmy w milczeniu. Coś dziwnego się działo. Coś choler-

nie dziwnego. Specjalnie wybrałam las, żeby ochłoniąć... żeby on ochłoniął. Wiedziałam, że ta nagła propozycja... to zlepek adrenaliny i wściekłości. Chciałam więc dać mu czas. Nie wiem, czy podziałało, ale za to ja... ja z każdym krokiem nakręcałam się bardziej.

Słońce zachodziło, cudnie mieniąc się między liśćmi wysokich drzew. Kiedy weszliśmy na szeroką wydeptaną ścieżkę przy częściowo zarosniętym stawie, ostatnie promienie odbiły się w wodzie. Widok był tak cudny, że na chwilę oderwał moje myśli od... no, wiadomo od czego. Zapatrzyłam się i potknęłam.

Złapał mnie za ramię. Mocne palce wbiły się w nie i mnie pociągnęły. Uderzyłam w twarde męski tors i na moment straciłam dech. Nie puścił. Przeciwnie, przyciągnął mnie gwałtowniej i pocałował.

O Chryste! Jak on całował. To był silny, brutalny pocałunek spragnionego faceta. Taki, o jakim się śni w najbardziej zbóżnych snach. O Jezu kochany!

Dłonie zsunęły się z moich pleców na pośladki i bezceremonialnie na nich zamknęły. Zacisnęłam palce na jego ramionach. Tak, jeszcze, jeszcze! Pogłębiliśmy pocałunek, a ja przyłgnęłam biodrami do jego bioder. Cholera, ależ był podniecony. Chciałam go dotknąć. Już... już...

Zaśpiew ptaka tuż obok nas zadziałał jak kubeł lodowatej wody. Oddychaliśmy jeszcze szybko, wciąż spleceni, ale przestaliśmy się całować. Roberto poprawił kosmyk, który wymknął się z mojego kucyka.

– Daleko jeszcze, blondasku? – zapytał tak cierpiętniczym tonem, że musiałam się roześmiać.

– Blisko. Serio.

Pokiwał głową.

– Szybciej – rzucił tylko.

Potaknęłam w milczeniu.

To było najdłuższe pięć minut w moim życiu. I z pół kilometra pokonane prawie biegiem. Nigdy nie sądziłam, że wspólny szybki



spacer w milczeniu może być tak podniecający. Gdy wchodziłam do bloku, ledwie mogłam myśleć. Ręce tak mi się trzęsły, że nie trafiłam kluczem do zamka za pierwszym razem.

Kiedy wreszcie otwierałam drzwi, Roberto wepchnął mnie do środka i zatrzasnął je za nami. Przez moment stał i patrzył. Najseksowniejszy supersamiec na ziemi. Wreszcie przycisnął mnie do ściany i pocałował. Brutalnie i mocno. Oddawałam pocałunek z taką samą gwałtownością, próbując jednocześnie wyszarpnąć koszulę z jego spodni. Musiałam dotknąć skóry. Jeszcze nigdy niczego tak nie potrzebowałam. Była chłodna i jedwabista, napięta na węzłach mięśni. Cholera. Jeszcze! Wcisnęłam rękę między nas i dotknęłam twardego brzucha. Mięśnie zagrały pod moim dotykiem, a Roberto odsunął się na chwilę. I patrząc mi w oczy, położył dłoń na mojej piersi. Wygięłam się, naciskając na te fantastyczne palce. Ocierałam się o nie, jęcząc i dysząc, a on zaśmiał się cicho. Szarpnął bluzkę do góry i odsłonił stanik.

– Boże – sapnął. Ponownie mnie pocałował, a palce łagodnie zacisnęły się na sterzącym sutku.

Prawie doszłam z przyjemności. Nie mogłam dłużej czekać. Musiałam mieć go w sobie. Sięgnęłam do paska i błyskawicznie go rozpięłam. A potem wreszcie dotknęłam...

Był duży i twardy. Jak cała reszta Roberto. Jedwabisty, duży i twardy. Przesunęłam powoli palcami. Mężczyzna jęknął. Napiął się cały, jakby chciał zatrzymać chwilę.

– Powoli – szepnął.

– Nie chcę powoli – zaprotestowałam. – Chcę cię mieć już.

Skinął głową. Włożył rękę pod spódnicę, między uda i pociągnął majtki w dół. Pomogłam nieporadnie, a gdy bielizna znalazła się na podłodze, znów wzięłam go w dłoń. Odepchnął ją, dość obcesowo, a potem wszedł we mnie. Mocno. Brutalnie... Cudownie.

Jęczałam, kiedy się poruszał. Objęłam go udami i wciśnięta w ścianę, zdana tylko na siłę Roberto, dochodziłam z krzykiem takiej rozkoszy, o jakiej dotąd nawet nie śniłam. Krzyczałam raz

za razem, niemal umierając z przyjemności.

Dołączył do mnie kilka uderzeń serca później. Jego drzenie tylko spotęgowało ekstazę. Krzyknęłam, a Roberto od razu zamknął mi usta pocałunkiem. Poruszył się jeszcze raz i drugi, jęcząc wprost w moje usta, a potem zamarł w objęciach moich nóg. Oddychał gwałtownie, a jego serce waliło jak oszalałe. Jak moje.

– Gdzie masz łóżko? – zapytał w końcu, nie zmieniając pozycji.

\*

Obudziłam się cudownie zmęczona i przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem, co się stało i dlaczego głupio się uśmiecham. Nie otwierałam oczu, wciąż na granicy tego słodkiego odrętwienia. Minęło kilka sekund, nim zajarzyłam, że... no... Roberto. O. Mój. Boże. Nawet nie wiedziałam, że tak można. Tyle razy, tak długo. No supersamiec w akcji. Spełnione marzenie. Leżałam cała szczęśliwa, słuchając odgłosów dobiegających z ulicy przez otwarte okno. Jakiś samochód przejechał, a jego silnik terkotał rozpaczliwie. Czyjś obcasy stuknęły po bruku, w oddali zaszczekał pies. Typowe osiedlowe dźwięki w Tychach.

Przeciągnęłam się i niechętnie otworzyłam oczy. Byłam sama. Nawet Belka, wyrzucona w czasie nocnych zmagani, nie pofatygowała się do sypialni. Pewnie się obraziła i wcisnęła w domek w drapaku, który kupiłam jej przed rokiem. Zawsze się tam chowa, kiedy coś nie idzie po jej myśli, i potem trzeba ją godzinami przeproszać. To chyba najbardziej pamiętliwy i humorzasty kot na świecie.

Ale to nie brak kota mnie zasmucił, nie okłamujmy się. Byłam sama w sypialni, a facet, który pół nocy mi udowadniał, że w opowieściach o seksualnych możliwościach Włochów jest sporo prawdy, zniknął. Mógł oczywiście być gdzieś w mieszkaniu, więc wstrzymałam oddech i przez chwilę... na tyle długą, na ile pozwoliły mi płuca... nasłuchiwałam. Nic. Cisza. Nawet gniewnego fuczenia kota.

To nie tak, że wyobrażałam sobie romantyczny poranek, słoneczko wpadające przez okno, dźwięki muzyki w tle, przystojnego półnagięgo mężczyznę w samych tylko niedopiętych dżinsach, ledwie trzymających się na szczupłych biodrach, niosącego tacę z kawą, słodkim śniadaniem i na wpół rozwiniętą różą... Dobra, coś tam sobie wyobrażałam. Dżinsy byłyby w kolorze denim, pasek w nich czekoladowy, a włosy Roberto uroczo portargane. No i duże, bose, męskie stopy...

Jezu, ta wyobraźnia kiedyś mnie wykończy.

Zawinięta w kołdrę, ponownie przyknełam oczy, żeby skupić się na obrazku, którego nie było. Na zewnątrz słońce stało już wysoko, dzień zapowiadał się gorący, a niebo między blokami miało idealny odcień bezchmurnego błękitu. Taki śliczny, doskonały czerwcowy dzień, a ja wolałabym zobaczyć coś innego. Cóż, życie, jak to mówi tatko.

Bella wychynęła zza framugi i spojrzała na mnie z wyższością baby, której potrzeby weterynarz usunął jednym cięciem dwa lata temu. Cholera, może to nie jest takie złe rozwiązanie? Jedno cięcie i po sprawie. Szkoda, że u ludzi tak się nie da.

– I czego się głupio uśmiechasz? – zapytałam nieco poirytowana. – Ja przynajmniej tyłkiem dywanów nie wycieram, jak ty wcześniej.

– Miau!

– To nie był dywan! I... nie ma czego porównywać, cholera!

Wstałam niechętnie, bo kocica miała ten wyraz pyszczka, który dokładnie sugerował, że jeśli się nie ruszę i nie dam jej jeść, to mi naszcza do kapti. Lubiłam swoje kaptie. Tatko przywiózł mi je z Wiednia. Były okrutnie różowe, aż oczy bolały, kiedy się na nie patrzyło. Wolałabym, żeby nie skończyły jak poprzednie.

Kocica szła przede mną z dumnie uniesionym ogonem, bo przecież udowodniła mi swoją wyższość, prawda? Mały, rudy, wredny szkodnik. Stała przy misce i spojrzała na mnie znieśmaczona, jakby chciała zapytać: długo jeszcze? Sypnęłam karmę i usiadłam na taborecie w kuchni, żeby popatrzeć, jak Belka je.

Taaaa, szczyt marzeń dwudziestopięciolatki: siedzieć na gołasa w kuchni i gapić się, jak jej kot wpieprza karmę. Niech jeszcze jakiś berbeć od sąsiadów zajrzy w moje okno i będzie komplet. Cholera! Pokręciłam głowę i wstałam, żeby iść pod prysznic. Gdy przechodziłam obok kotki, podrapałam ją po grzbiecie. Mruknęła niechętnie. Nie znosiła, kiedy przeszkadzałam jej w jedzeniu.

Ciepła woda zmywała zmęczenie i dotyk faceta, którego tak cholernie pragnęłam. Gdzieś po pięciu minutach stania pod natryskiem zaczęłam ryczeć. W sumie nie jestem pewna dlaczego. Nic się przecież nie stało... Znaczy stało się, jasne, że się stało. Wielokrotnie i za zgodą obojga. No i było zajebiście przyjemne. Powinnam być uchachana od ucha do ucha. A ja płakałam jak kretyнка. Tak zupełnie bez powodu.

Ech, głupia Magda, głupia, głupia...

Telefon zadzwonił przy czwartej głupiej. Rysiek Riedel odśpiewał *List do M*, a ja z westchnieniem zawinęłam się w ręcznik, żeby odebrać. Tylko jednej osobie przypisałam ten dźwięk. I ta osoba dzwoniła zwykle do skutku.

– Cześć – przywitałam się.

– Beczałaś?

Kuźwa! Jakim cudem on gdzieś tam, nie widząc mnie, po jednym słowie potrafił to wyczuć?

– No.

– Fajnie. Jakiś tępak?

– Tatku!

– Przecież nie ryczysz z powodu mnie, pogody czy złamanego paznokcia. Tępak?

– Nie. I nie gadam na ten temat.

– Jasne. Co robisz?

Gapię się na kota czyszczącego futro z głębokim przekonaniem, że jest bogiem.

– Nic.

– Świetnie, dzidzia. Będę za godzinę. Spakuj się, wyskoczmy

do Wisły.

– Wskoczmy?

– Bardzo śmieszne. Wyskoczmy, matołku. Hotel, spa, full wypas. Zadbają o nas, dopieszczą... Zaraz będzie ci lepiej. Rusz ten krągły tyłeczek, córcia.

– A co z Belką?

– Ten kot i tak ma w dupie, czy jesteś, czy cię nie ma. Zostaw jej żarcie na dwa dni i schowaj kaptcie.

Popatrzyłam na mojego czworonoga, który od chwili, w której napełniłam jego miskę, nie zechciał mnie obdarzyć choćby jednym spojrzeniem, i westchnęłam zrezygnowana.

– No, dzidzia... Przecież nie masz nic lepszego do roboty, prawda?

No. Nie miałam. Skoro Roberto wyszedł bez słowa czy choćby karteczki na nocnym stoliku, to raczej nie mam co liczyć na to, że wróci na ciąg dalszy. Pewnie wytrzeźwiał i rozumiał, że... Cholera wie, co rozumiał, ale wątpliwe, by to, że jestem miłością jego życia, światłem jego oczu, powietrzem dla jego płuc...

Matko, głupieję.

– Nie, nie mam.

Przez chwilę w słuchawce słychać było tylko ciszę. Potem ojciec powiedział poważnie:

– Kocham cię, wiesz, prawda?

– Jezu, tato.

– Gdyby co, powiesz mi?

– Gdyby co?

– No nie wiem. Jakbyś... no...

– Słuchaj, nie jestem w ciąży, nie mam myśli samobójczych, nie jestem w depresji. Nic mi nie jest. Spokojnie. Przyjedź za godzinę. Będę gotowa.

Rozłączyłam się z wyrzutami sumienia. Cholera.

\*

Tatko spóźnił się piętnaście minut. Nic niezwykłego. Kiedy

umawiasz się z Markiem Lisowskim, musisz dodać do wyznaczonego terminu od kwadransa do godziny – zależy, jak mu zależy. A że dziecko ma tylko jedno... przynajmniej takie, o którym wie... to na spotkanie ze mną zwykle spóźnia się najmniej. Raz nawet był o czasie, czym mnie śmiertelnie wystraszył. Więcej tego nie zrobił.

Zadzwoił dwa razy, jak rasowy listonosz, a potem, nie czekając, otworzył sobie sam. Kiedyś dałam mu klucz, więc korzystał z niego bez zastanowienia.

– Pewnego razu zastaniesz mnie w sytuacji, której nie chciałbyś zobaczyć – warknęłam, gdy wszedł.

– Wtedy zareaguję jak dwustuprocentowy ojciec: spiorę dupka, a potem zaciągnę was oboje do urzędu stanu cywilnego.

– Tatko się wyszczerzył.

Mój tata. Zaraz po Roberto najprzystojniejszy facet, jakiego znam. Zaraz, nie mówiłam tak o Jurkowskim? To się myliłam. Jednak tatko. Patrząc na niego... i okazjonalnie na matkę... zawsze się zastanawiałam, jakim cudem dwa tak doskonałe okazy zdołały spłodzić tak absolutnie przeciętną istotę jak ja. Byłam podobna do tatka, ale to, co u mnie było nawet, nawet, u niego było jakieś lepsze, ładniejsze. Oczy miał głębsze, prawie granatowe, włosy, chociaż też blond – ciemniejsze i tak się ładnie kręciły, usta pełniejsze, zęby idealnie proste...

Miał czterdzieści jeden lat, a wyglądał na trzydzieści. Obcy nie wierzyli, że jest moim ojcem, a wszystkie moje koleżanki kochały się w nim na zabój. Od chwili, w której zobaczyłam go pierwszy raz, osiemnaście lat temu, był moim bohaterem, prawie bogiem. No i był najlepszym tatą, jakiego można sobie wyobrazić.

– Gotowa?

– A mam wyjście?

Zachichotał i cmoknął mnie w czoło.

– Nie. – Obejrzał mnie krytycznie i pokręcił głową. – Tak jedziesz?

- A coś nie tak?
- Pokaż torbę.
- Tato!
- Nie tatuż, pokaż!
- Jezu.
- Jezować też nie musisz. – Sięgnął do mojej torby. – Jezu!
- Jezować też nie musisz – spapugowałam go.
- Przecież mówiłem: hotel, spa... Czegoś nie zrozumiała?

Gorszych szmat nie masz?

- Wstydzisz się mnie?
- W takich ciuchach? Jasne.
- Lubię je.
- Matko, jakbyś ty taka podobna do mnie nie była... Gust masz po Jolce.

Spojrzałam na jego ciuchy z górnej półki, ewidentnie mówiące „mam kasę”, i przewróciłam oczami.

- Ale wiesz, że *ty* byłeś w jej guście?
- Dawno i krótko. Potem jej się zepsuł. – Wysypał wszystko z mojej torby, a później podszedł do wielkiej szafy z przesuwanymi drzwiami i bezceremonialnie ją otworzył. Jak bernardyn zasypane w głębokim śniegu ofiary, tak tatko wyczuwał lepsze ciuchy wśród kompletnego bajzlu, jaki panował w moich rzeczach. – No, patrz, masz jakieś ładne łaszki. To się nada, to też, i to... O, to również. – Wyciągał ubranie po ubraniu i wciskał je do torby. – Okej. Wystarczy. Teraz jeszcze załóż to i jesteś gotowa – uznał w końcu, podając mi kieckę, którą sam kupił dwa tygodnie wcześniej, a której jeszcze nie miałam na sobie. – Dalej, dzidzia!

Mój tatko. Wredny dyktator.

Dziesięć minut później wychodziłam z domu w zwiewnej błękitnej sukience, jakiej sama w życiu bym nie wybrała, z jakiegoś delikatnego, półprzezroczystego materiału, który otulał moje uda łagodną pieśczętą. Cholera, to nawet było miłe. Nie żebym od razu zamierzała chwalić gust ojca, przynajmniej

nie w jego obecności, ale raz czy dwa razy przesunęłam palcami po materiale, a nim minęłam drzwi, zerknęłam w odbicie w lustrze. Hmm... zupełnie jak nie ja. Taka słodka blondyneczka. Jakbym jeszcze rozpuściła włosy, zrobiła makijaż...

Rany, zaczynam myśleć jak jakaś Barbie! No, ale jakby tak... To może Roberto...

Dość, Magda!

\*

– To co to za typ? – Tatko wytrzymał mniej więcej do Pszczyny. Taaa, i tak był dzielny.

– Jaki znów typ?

– Ten, przez którego ryczałaś. I nie patrz tak na mnie. Już kiedy miałaś dziewięć lat, nie dawałem się na to nabrać. Tym bardziej teraz tego nie zrobię. Gadaj.

– Nie ma o czym. Patrz na drogę, cholera!

– Patrę na drogę, najdroższe moje dzieciątko. Co nie zmienia faktu, że zauważyłem też twoje spuchnięte oczy. Wróciłaś do Adriana?

– Adrian to przeszłość.

– Więc inny.

– Jezu, tato. Jesteś jak pies myśliwski.

– No. – Uśmiechnął się z dumą. – Wyćwiczyłem się, prawda? Dawaj. Tylko bez krwistych szczegółów. Dbaj o stare serce ojca.

Prychnęłam rozbawiona. Stare serce. Taaa...

– Nie odpuszczisz? – zapytałam, bo zerkał na mnie jednoznacznie.

– Bez szans. Muszę wiedzieć.

– Rozumiesz, że to nienormalne, że ojciec dopytuje o życie miłosne dorosłej córki?

– Jakbyśmy kiedykolwiek byli normalni – parsknął.

No tak. Nie byliśmy.

Niektórzy mówili, że jestem wpadką. Matka miała szesnaście lat, kiedy mnie urodziła. Ojciec był jeszcze młodszy. No,



wypadka jak nic, prawda? Otóż nie. Byłam jednym z najbardziej planowanych dzieciaków na świecie. Matka, normalnie słabiutka ze wszystkich przedmiotów, tym razem dokładnie doczytała... Chryste, nie mogę uwierzyć, że to mówię, matka czytała! Ale tak, doczytała o dniach płodnych i prowadziła przez kilka miesięcy kalendarzyk. Tak! Kalendarzyk! Znalazłam go, kiedy miałam siedem lat, a ona wytłumaczyła mi ze szczegółami co, jak i po co. Brrr... wciąż robi mi się słabo, kiedy o tym pomyślę. Wybrała odpowiedni dzień, pozbyła się babki z domu i uwiodła najbogatszego dzieciaka w klasie. Kiedy nie było trzeba, była całkiem bystrą dziewczynką. Opracowała strategię, długoterminowy plan wyrwania się z biedy do lepszego świata.

Niestety, kiedy rodzice tatka się dowiedzieli, zabrali synka i zamieszkali na drugiej półkuli. Jedno trzeba przyznać matce: nie pozbyła się mnie. Przez jakiś czas byliśmy we trzy. Ja, ona i babka, która szczerze mnie nie znosiła. Nie trwało to długo, bo mamusia lubiła mężczyzn. Przewijali się przez nasze małuchne mieszkanko jeden za drugim, ze średnią pobytową czterech miesięcy. Miałam ze cztery lata, kiedy matka wreszcie wyszła za mąż. Niestety zabrała mnie ze sobą. Pierwszy rok był jako taki, ale z czasem zrobiło się naprawdę kiepsko. Ojczym mnie nie cierpiał, bo byłam żywym dowodem na jego niemożność spłodzenia potomstwa. Ostatecznie matka już jedno urodziła, więc to nie z nią był problem, prawda?

Chwilami robiło się paskudnie. A potem przyjechał tatko.

To były ostatnie wakacje przed pierwszą klasą. W dalekim świecie, o którym nic nie wiedziałam, moi dziadkowie zginęli w wypadku. Tatko dostał spore odszkodowanie, ale został kompletnie sam. Uznał więc, że trzeba polecieć do Polski i zobaczyć jedyne dziecko. Przynajmniej raz.

Przyszedł akurat wtedy, kiedy... nie będę wmawiać, że przez przypadek... zniszczyłam ojczymowi ulubioną koszulę. Facet dostał furii. Serio. Wrzeszczał i wrzeszczał, a potem sięgnął po pas. Cholernie bałam się tego pasa, chociaż wcześniej ude-

rzył mnie tylko raz. Wtedy się posikałam, a ojczym uznał, że to obrzydliwe. Pewnie dlatego więcej mnie nie bił. Aż do tego niedzielnego poranka.

Matka otwierała drzwi, kiedy ojczym zadał pierwszy cios. Drugiego już nie zdążył, bo tatko rzucił nim o ścianę. Coś mu tam nawet chyba złamał, ale sprawy nie było, bo gość się wystraszył. Kiedy tamten próbował się pozbierać, tatko wyciągnął do mnie rękę i powiedział:

– Jestem twoim tatą. Chcesz iść ze mną?

Kuźwa, też pytanie, nie?

Matka nie protestowała. Chyba też się trochę wystraszyła. No i ojciec sporo jej potem zapłacił za zrzeczenie się praw rodzicielskich.

I tak zostaliśmy rodziną. Trochę dziwną, dwuosobową, której głowa sama ledwie dorosła.

– Coś się tak zamyśliła?

– Tak sobie.

– Nie kombinuj, opowiadaj.

– Nie ma o czym. Była impreza, był cholernie przystojny facet, była szalona noc. Teraz jest ranek, ja mam kaca moralnego, a zamiast robić fajne rzeczy z przystojnym facetem, tłumaczę się mojemu ojcu.

– Blee – skrzywił się tatko. – Straszna historia. Zwłaszcza dla biednego ojca, który musiał jej wysłuchać. Mam mu wlać?

Westchnęłam, bo to wielokrotnie zadawane pytanie jakoś mnie nie rozbawiło tym razem.

– On mi się podoba, tatku – stwierdziłam jakoś tak smutno.

– Tak cholernie mi się podoba.

– Ty jemu chyba też, skoro była szalona noc?

– Ja byłam pod ręką. Nie mógł mieć tej, której pragnął. No i był trochę pijany.

Taaa... no i powiedziałam to na głos. Powiedziałam, usłyszałam i rozbeczałam się znowu. Nie ma jak uświadomić sobie prawdę. Cholera by to...

Ojciec zjechał na pobocze, zatrzymał samochód i objął mnie. Nie namawiał, żebym przestała, nie twierdził, że przesadzam. Nie użył żadnego durnego frazesu. Objął mnie tylko i tyle. Zawsze był najlepszy. Że też nie mogę spotkać takiego faceta. Cóż, może dlatego, że tatko jest jedyny w swoim rodzaju.

Po niesłuchanie długim czasie, czyli jakichś trzech minutach, kiedy już mi przechodziło, sięgnęłam do schowka, wyciągnęłam chusteczkę i wysmarkałam głośno nos.

– Już – rzuciłam, spoglądając na ojca.

– Na pewno?

– No. Przejdzie mi. – Wzruszyłam ramionami. – Jak zawsze.

– Rany boskie. – Westchnął. – Wiesz... wykończysz mnie kiedyś. Ręce mi się trzęsą. Widzisz? Jakby ten twój przystojniak się tu pojawił, udusiłbym dziada gołymi łapami. Bycie ojcem jest do dupy.

Pogłaskałam go po ramieniu.

– Dajesz radę. Mam prowadzić?

– Nie. Daję radę, prawda?

Uśmiechnęłam się krzywo, świadoma, że robi to dla mnie.

– Miałaś rację – przyznałam po chwili milczenia, kiedy już znów jechaliśmy.

– Jasne, że miałem. A w czym tym razem? Konkretnie?

– Kiedy powiedziałaś, że nie powinnam brnąć w coraz głębsze znajomości. Niepotrzebnie się na ciebie złościłam.

– Magda, nie strasz mnie! – Spojrzał zza kierownicy, na serio przejęty. – Od dziecka nie przyznajesz mi racji. Boję się.

– Bo od dziecka nie zdarzyło się, żebyś ją miał – skłamałam, a potem zamilkłam.

Jakiś czas podróżowaliśmy w ciszy, bo tatko nawet radio wyłączył.

– Kocham cię. – Ojciec tylko zerknął, a potem kontynuował:

– Chcę, żebyś była szczęśliwa. Masz w sobie mnie i matkę. Jak ją ciągnie cię do różnych facetów, ale po mnie masz potrzebę stabilizacji. Nie kręć tą durną łepetyną. Oboje wiemy, że to prawda.

Nie będziesz szczęśliwa bez męża, dzieci, domu. Nie da ci tego żaden najprzystojniejszy nawet tępak, wymieniany co pół roku. Choćby nie wiadomo jak dobry był w łóżku.

– Jezu, tato!

– Dzisiaj, przestałem wierzyć w twoje dziewictwo, kiedy zastałem cię pod tym osiłkiem w drugiej liceum.

Zachichotałam na to wspomnienie. Biedny Piotrek. Do dzisiaj, kiedy widzi mojego ojca, blednie ze strachu i spiesza na drugą stronę ulicy.

– Było nie wracać wcześniej z pracy.

– Z tego, co pamiętam, i tak wróciłem za późno. – Westchnął.

Wprawnie wyminął kolejny samochód, by ledwie kilkaset metrów dalej zatrzymać się na czerwonym świetle. Rzucił mi wtedy przeciągłe spojrzenie, takie pełne czułości, które zawsze sprawiało, że coś drapało mnie w gardle i nagle brakowało mi słów.

– Czasami myślę, że powinienem był szybko się ożenić, kiedy tylko cię odebrałem. Znaleźć jakąś starszą kobietę, która pomogłaby mi wychować córkę. Choćby tylko po to, żebyś miała dobrego kobięcy wzorzec.

– A ja czasami myślę, że bredzisz bez sensu. – Machnęłam ręką. – Zielone. Jedź już. – Kiedy ruszył, dodałam: – Jesteś najlepszym ojcem i matką w jednym. Przeganiałeś moich chłopaków jak ojciec, a teraz zrzędzisz jak matka. I też cię kocham.

Tatko pokręcił głową.

– Mimo to...

– Czekaj. – Zmarszczyłam brwi. – Masz kogoś? Zamierzasz się hajtać?

Zachichotał.

– Taaa, jasne. Za stary już jestem.

– Czyli nie jadę poznać przyszłej mamusi?

– Nie. Jedziemy odpocząć, naładować baterie, odbudować relacje... No wiesz, takie tam bzdety. Będę cię dręczył po ojcowsku, a ty będziesz jęczeć, jak to córka. Dobrze?

– Jasne. Co mi tam. – Wzruszyłam ramionami. Za oknami

migały zielone pola. Na błękitnym niebie powolutku przesuwały się pojedyncze chmury. Dzień był ciepły i słoneczny. W taki dzień trudno siedzieć i rozdrapywać rany. Zwłaszcza jeśli wiozą cię do jakiegoś spa w Wiśle. – Jasne. Będzie fajnie.

\*

Wróciłam w niedzielę, późnym popołudniem, wypoczęta i prawie zadowolona. Ojciec miał rację, potrzebowałam tego. Po kilku ciężkich dniach, niedotrzymanych postanowieniach i małym dołku zaliczonym z wiadomego powodu odrobina luksusu dobrze mi zrobiła. Góry pomogły co nieco poukładać...

Dobra, a teraz szczerze: przez pół soboty zerkałam na komórkę, licząc na... Jezu, przecież to żadna tajemnica na co. Miałam już przygotowaną mówkę i w ogóle... No, niby wiedziałam, że Roberto nie ma mojego numeru. Ale przecież znał numer Karoliny, a ona mój. Mógł zadzwonić, prawda? Jasne, że mógł. Jasne.

Tylko że nie zadzwonił. Ani w sobotę, ani w niedzielę.

Wracałam więc do domu z cieniem nadziei, że zastanę go pod drzwiami. Zupełnie maleńkim cieniem... Eeee tam, wszystko miałam wymarzone w szczegółach. Że siedzi na schodach przed moim mieszkaniem... Mniejsza o to, jak wszedł, nie mając klucza od domofonu, nieważne. Sąsiad go wpuścił albo co. W każdym razie siedzi taki smutny i czeka. A potem aż cały promienieje, z tą swoją przystojną buźką i cholernie błękitnymi oczami.

Nie żebym sobie wyobrażała Bóg wie co, prawda?

Aż wstrzymałam oddech, wchodząc do klatki schodowej. Ale nie, Roberto nie siedział na schodach. Za to Bella stała przy drzwiach, wściekła jak zawsze, kiedy ją zostawiałam na dłużej. Syknęła, kiedy weszłam. Postawiła ogon, a potem machnęła nim raz i drugi, odwróciła się i poszła do kuchni. Tym samym dała mi do zrozumienia, że i tak ma mnie gdzieś, ale na żarcie czeka

z utęsknieniem.

Nakarmiłam kota, a później usiadłam przed telewizorem, żeby pogapić się na jakiś durny film. Cholera, ojciec miał rację, byłam samotna. Czy to związek Karoliny z Kubą tak na mnie podziałał, czy rzeczywiście coś tam poczułam do tego piekielnego Włocha? Diabli wiedzą. Ale siedząc w półmroku rozjaśnionym tylko blaskiem telewizora, z kotem, który łaskawie rozłożył się obok mnie na kanapie, poczułam się opuszczona przez cały świat.

## ROZDZIAŁ 2

Budzik dzwonił i dzwonił gdzieś daleko, w innej galaktyce. Niby docierał do mnie jego dźwięk, ale jakoś tak z drugiego końca kosmosu, przez opary snu, którego nie byłam gotowa opuścić. I pewnie zostałabym w nim, gdyby mała wredna łapka nie trzepnęła mnie w nos. Raz, drugi, trzeci, przerwa i od nowa.

– Jezu, Belka, przestań. – Otworzyłam oczy i odepchnęłam kocicę. – Chwała Bogu, że obcięłam ci pazury, bo miałabym całą gębę w sznytach. No już. Przecież wstaję. Złaż ze mnie.

Bella miauknęła i zeskoczyła z łóżka. Zrobiła dwa kroki w kierunku kuchni, a potem stanęła i popatrzyła na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Albo się ruszysz, albo dam ci wycisk”. Westchnęłam i usiadłam, acz niechętnie. Generalnie nie lubię ponie działków, a już ten wzbudzał we mnie prawie fizyczną niechęć. Brrr... trzeba iść do pracy. Nie będę o tym myśleć. Nie będę.

W lustrze czekała na mnie jakaś cholernie rozczochrana blondynka z czarnymi obwódkami wokół zapuchniętych oczu. Aha! Zapomniałam wczoraj umyć twarz. Świetnie. Dobrze, że byłam sama, bo mogłam straszyć. Ech, plusy niebycia w związku.

Do dupy.

Wzięłam szybki prysznic, wysuszyłam włosy i ponownie przyjrzałam się odbiciu. Już lepiej. Minimalnie, ale zawsze. Bez makijażu, z włosami, które nijak nie chciały się ułożyć i drobnymi loczkami wymykały się z kucyka, wyglądałam jak nastolatka, jak dzieciak. Nie jak wyrafinowana ślicznotka, taka Karolina, z tymi jej subtelnymi rysami, długimi nogami i szczupłą figurą. O, nie. Ja mam, cholera, krągłości, mam cycki i tyłek,

które kompletnie do tej niewinnej buźki piętnastolatki nie pasują. Jestem pieprzonym kontrastem, zestawem genów moich rodziców, tak różnych od siebie jak to tylko możliwe.

Przez chwilę, patrząc na swoją twarz, zastanawiałam się, czy jest sens się malować. W końcu jednak sięgnęłam po kosmetyki. Ostatecznie pierwsze wrażenie po wspólnej nocy robi się tylko raz, prawda? Zrobiłam więc najlepszy makijaż od lat. Chyba w ogóle najlepszy w życiu. A potem powalczyłam z włosami. Łatwo nie było, ale kiedy skończyłam, nie było już nastolatki, a kobieta uśmiechająca się w lustrze była naprawdę... No, naprawdę.

Jeszcze kilkanaście minut przerzucania ciuchów w szafie i... oto jestem! Będzie dupek żałował, że mnie olał! A jak?! Gdzie taką drugą znajdzie? Seksowną jak jasna cholera i do tego zajebytą w łóżku. No, Magda, się postarałaś. Chłopaczyna będzie się ślinił jak brzdąc przed ladą z lodami. Jak nic.

Absolutnie zadowolona z siebie pogłaskałam kota, który na pieszczotę zareagował spojrzeniem mówiącym: „Pogięło cię”, po czym wyszłam z domu.

Czerwiec tego roku był wyjątkowo ciepły, więc mimo wczesnej godziny było już gorąco. Normalnie poszłabym do pracy pieszo albo pojechała na rowerze, ale te niesamowite czerwone szpilki, w które się wcisnęłam, nie sprzyjały spacerom. I nie, nie były podarunkiem od tatka. Kupiłam je sama, w przypiływie geniuszu czy rozpaczy. Zwał jak zwał, grunt, że przechodząc obok wystawy sklepu obuwniczego, usłyszałam ciche zawroźnienie i ze zdziwieniem zrozumiałam, że to moja dusza jęczy na widok takiego cudenka. Kiecki mnie nie ruszały... ale buty. Butów kupiłam już dziesiątki, a większość zakładałam tylko w domu. Ot tak, żeby na nie popatrzeć.

Te genialne, niebotycznie wysokie buciki na przeraźliwie cienkim obcasie właśnie przechodziły inicjację. Nie chodziłam w nich nawet po mieszkaniu. Były świeżutkie, pachnące i nowiuśkie. Dodawały do moich stu sześćdziesięciu centymetrów dodatkowe dwanaście. Byłam, cholibcia, prawie wysoka! A co



tam, że musiałam stawiać powoli kroki i nie byłam pewna, czy za chwilę się nie wyłożę. Te dodatkowe centymetry sprawiały, że czułam się eteryczną pięknoską. Taką no, słodką, szczupłą, elegancką. Boginią.

Bogini wsiadła do samochodu i musiała zmienić buty na szmanciane tenisówki, bo w niebotycznych szpilach nie potrafiła prowadzić. Nic to. Za chwilę znajdę się w firmie i znów będę mogła zadawać szyku. Co prawda wśród pustych ścian, bo do ósmej zostało prawie pół godziny, więc pewnie będę pierwsza w biurze.

Lubiłam swoją pracę, zwłaszcza odkąd Włosi zmienili zarząd i zwolnili poprzedni. Miałam ciekawe, chwilami wymagające zajęcia, trochę analiz, sporo kontaktów z dostawcami, wiecznie coś się działo. Nie narzekałam na nudę, a od czasu kiedy do zespołu dołączyła Karolina, było prawie jak w domu. No i od dwóch tygodni był jeszcze Roberto. Boski człowiek z Mediolanu, wysłany, żeby przejąć władzę nad naszym oddziałem. Jezu, to dopiero dwa tygodnie? No, dwa. Dałam się przelecieć szefowi, którego znałam zaledwie od kilkunastu dni. Jak to o mnie świadczy?

I dodatkowo dupek nawet nie zadzwonił po fakcie.

No, nie świadczy najlepiej. Ojciec ma rację, rozdrabniam się jak matka. Skończę jak ona, z piątym mężem, wiecznie narzekająca na mężczyzn. Albo gorzej: kompletnie sama z kolejnym kotem fuczącym na mój widok. Jezu! Magda! Weź przestań marudzić! Jesteś młoda, masz czas! I w tej sukieneczce wyglądasz bosko. Facet pożałuje, że milczał przez cały weekend. Zobaczysz! Tchu mu braknie, resuscytacja będzie potrzebna. No, a na tym to ty się, babo, znasz jak żadna inna. Przynajmniej na tej części z ustami...

Na myśl o resuscytacji ciacha roku zrobiło mi się całkiem przyjemnie i cała uchachana podjechałam przed firmę. Parking był wciąż pusty, a brama zamknięta. Cóż, był poniedziałek. W poniedziałki rzadko komu chciało się przyjechać wcześniej niż o ósmej. Nawet kurdupel Tomaszek, nim go zwolnili, pierwszego dnia tygodnia zjawiał się punkt ósma, nie wcześniej.

Taaa... Tomaszek, nasz były koszmaryny dyrektor. Wywalony przez Roberto.

Jak bym się nie starała – nie żebym, ale jakbym – nie mogłam przestać o nim myśleć. Cholera, ale mi zaszedł za skórę. Jak żaden facet wcześniej, a tatko miał rację, sporo ich już było. Ech, miałam nadzieję... sama już nie wiedziałam, na co miałam tę nadzieję.

Biuro było puste, ciche samotne pokoje, jak świat w postapo, w którym jestem jedyną ocalałą, ostatnią żyjącą przemykającą przez opustoszałe budynki. Spotykałam się kiedyś z chłopakiem, który lubił takie klimaty. Obejrzałam jeden czy dwa filmy, ale potem miałam koszmary i na tym zakończyły się i związek, i zainteresowanie fantastyką. Nieodmiennie jednak, kiedy przyjeżdżałam do pracy przed wszystkimi, myślałam właśnie o nim. Włączałam komputer, otwierałam okna i słuchałam ciszy dochodzącej z ulicy i buczenia wentylatora. Dopiero po kilku chwilach tej biurowej muzyki włączałam też radio i pozwalałam ulubionej stacji zabić magię jedyne go człowieka na ziemi.

To było moje miejsce we wszechświecie. Może nie jedyne, ale jedno z tych, w których czułam się częścią czegoś większego. Tatko mówił, że to syndrom pierwszej pracy i minie, kiedy ją zmienię. Nie spieszyło mi się, żeby sprawdzać, czy ma rację.

W drodze do kuchni przystanąłam przy pokoju prezesa. Zawahałam się, wyobrażając sobie Roberto siedzącego za biurkiem. Taki cholernie seksowny, w jasnej koszuli lekko opiętej na szczupłej, umięśnionej sylwetce. No i te niebieskie roześmiane oczy. Nie można nie pragnąć takich oczu. Westchnęłam i położyłam dłoń na zamkniętych drzwiach.

Taaa... normalnie jak jakaś szajbnięta stalkerka. Jeszcze tylko powinnam paść na kolana i przytulać się do klamki, szepcząc namiętnie imię swojego ukochanego. Idiotka. Pokręciłam głową zniesmaczona i poszłam zrobić sobie pierwszą kawę.

Przyznaję, że to były chyba najdłuższe i najbardziej bezowocne trzy godziny w moim życiu zawodowym. Całuśki czas myślałam o tym, co mu powiem, jak i w ogóle... No i w szczegółach wyobrażałam sobie jego reakcję. Miałam na to aż trzy godziny, bo Roberto najpierw się spóźnił, a później miał jakichś gości. Siedział zamknięty z nimi w swoim pokoju, więc jakoś nie mogłam tam wpaść, żeby pokazać, co traci i jak bardzo powinien tego żałować. Nikt jednak nie zabronił mi planować, prawda? Zwłaszcza że od roku zajmowałam już mały pokoiik całkiem sama. To i siedziałam przy włączonym komputerze, i gapiłam się w ekran. Od czasu do czasu sprawdzałam pocztę, ale to był maks moich możliwości.

Wreszcie zadzwonił telefon. Długi, jednostajny sygnał. Wewnętrzny. Na wyświetlaczu pojawiło się „PREZES”. Oho!

– Słucham?

– Przyjdź do mnie, proszę. – Dziwne, nie brzmiał, jakby prosił. Powiedział to suchym, rozkazującym tonem szefa. Niedobrze.

– Jasne.

Serce waliło mi jak szalone. Odetchnęłam raz i drugi, żeby uspokoić ciśnienie. Oczywiście bez efektów. Wszystko się we mnie telepało. Masakra. Skoro nie mogłam ukoić nerwów, poprawiłam kieckę i zerknęłam szybko w lusterko. Nieźle. Wyglądałam prawie tak zajebicie jak Karolina. Może nie całkiem, ale prawie.

Siedział za biurkiem, kiedy weszłam. Świetnie pasował do olbrzymiego mahoniowego mebla. Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wcześniej wyobrażałam. Po prostu zajebicie.

– Zamknij drzwi – odezwał się, nie podnosząc wzroku znad komputera. Zrobiłam, o co prosił, a potem stanęłam o trzy kroki od niego z mocnym postanowieniem, że nie usiądę, póki ciacho na mnie nie spojrzy. A co? Niech zobaczy... O, właśnie.

Podniósł oczy. Przez moment wyglądał na zaskoczonego. Patrzył w milczeniu, ze zmarszczonymi brwiami, jakby nie był pe-

wien, czy dobrze widzi. Jeden zero dla mnie.

– Usiądź, proszę – rzucił nie spuszczać ze mnie wzroku.

Był kiedyś taki tydzień, ciągle lało i lało, więc paskudnie się z Karo nudziłyśmy. Miałyśmy po piętnaście lat i naoglądałyśmy się jakiegoś shitu, czegoś w stylu *Być piękną* czy podobnego bzdurka. Tatko bał się, że mam tylko męski wzór, więc zmuszał mnie do noszenia kiecek i oglądania takich rzeczy. Głośno jęczałam, że bzdury, ale po cichu nawet to lubiłam. W tamtym tygodniu zrobiliśmy z Karo prawdziwy maraton, a na końcu godzinami ćwiczyłyśmy takie ruchy, jakie miały te modelki. Miękkie, seksowne kołysanie biodrami. Szło nam całkiem nieźle, przynajmniej tak myślałyśmy, póki nie zobaczył nas jej brat, Jasiiek. Śmiał się i śmiał... Kiedy poszedł, stwierdziłyśmy, że jeszcze mu pokażemy. Dwa dni potem Karolina kazała mi założyć jedną ze swoich kiecek i przemaszerować w tym kusym czymś, co bardziej przypominało dłuższą bluzkę, tuż przed Jaśkiem. I wtedy się nie śmiał. Miał dziewiętnaście lat, burzę hormonów i słabą odporność na cysatą panienkę w za krótkiej sukience, kręcącą tyłkiem tuż przed jego nosem. Od tamtej chwili wiedziałam, że też potrafię. A teraz, w tej ciasnej mini i krwistych szpilkach, sprawdziłam. Błysk w oczach Roberto wyraźnie mówił, że i owszem, nadal umiem zwrócić uwagę mężczyzny.

Z trudem ukrywając ogromne samozadowolenie, usiadłam na krześle naprzeciwko mahoniowego biurka i założyłam nogę na nogę. Sukienka podjechała o kilka centymetrów. O rany, ile mnie kosztowało, żeby jej nie poprawić... Karolina zawsze mówiła, że faceci lecą na dwie rzeczy: nogi i biust. Miała informacje z pierwszej ręki: braciszek raczył ją nimi w ramach ostrzeżeń. Nogi miałam nie najgorsze. Przynajmniej tatko i Karo tak mówili. Nie tak zajebiste jak biust, ale nie najgorsze.

Roberto nie wstał, jak to sobie wyobrażałam. Przyglądał mi się jak jakimś dziwadelku, z niechętnym zainteresowaniem. Wszystkie moje wyobrażenia szlag trafiał, jedno po drugim,

a i scenariusze pisane w myślach przez dwa dni i ostatnie dwie godziny skonały pod tym zimnym spojrzeniem.

– Słuchaj... Magda. – Zawahał się przy moim imieniu, jakby musiał je sobie przypomnieć. Niedobrze. Bardzo niedobrze. – Musimy porozmawiać.

Milczałam, bo powolutku zaczęłam rozumieć, że romans skończył się, nim się zaczął.

– Oboje rozumiemy, że tamto nie powinno się wydarzyć. – Uciekł na chwilę spojrzeniem. – Wypiłem za dużo, a potem bójka... Adrenalina. Tym jedynie mogę tłumaczyć tę kosztowną pomyłkę.

O... Zakłęłam w myślach tak szpetnie, że ojciec przetrzepałby mi skórę. Oczywiście zaraz po tym, jak stłukłby do nieprzytomności faceta, który nazwał mnie kosztowną pomyłką. Zabolało tak, że ledwie mogłam oddychać. Gapiłam się z chyba najdurniejszym wyrazem twarzy na tego cholernie przystojnego gościa i nie mogłam uwierzyć, że powiedział to, co powiedział. Dotychczas tylko jedna osoba nazwała mnie pomyłką. Babka. I teraz on.

– Mam nadzieję, że rozumiesz – kontynuował Roberto, nie dostrzegając albo nie chcąc dostrzec mojego wyrazu twarzy. Rozparł się w dużym skórzanym fotelu. Idealny dupek. Kuźwa. I już prawie się uśmiechał. Taaa, najwyraźniej jemu ulżyło. Szkoda, że mnie wręcz przeciwnie. – Zapomnimy o tym oboje. Bo też i nie ma o czym pamiętać. Wszyscy popełniamy błędy.

– Jasne – warknęłam. Wstałam i nie patrząc na Roberto, zapytałam: – To wszystko?

Nie odpowiedział, więc po kilku sekundach, które straszliwie się ślimaczyły, a liczyłam każdą z nich, popatrzyłam wreszcie na niego. Przyglądał mi się spod zmarszczonych brwi. Cholera. Cholera, cholera. Sukinkot, ale przystojny. Odwróciłam głowę.

– Mogę już iść?

– Chciałbym, żebyś zrozumiała...

– Spokojnie, szefie. – Licz do dwudziestu Magda, licz... – Nie byłam w niedzielę w kościele dawać na zapowiedzi. Jesteś bezpieczny.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, wyszłam, bardzo cicho zamykając za sobą drzwi. Równie cicho zamknęłam chwilę później te do swojego pokoju. Stałam za nimi, rozejrzałam się wokoło... a potem złapałam zszywacz i rzuciłam nim o ścianę.

Nie, nie pomogło. Wciąż brakowało mi tchu, a coś wielkiego w gardle dławiło jak cholera. Nie należę do rozemocjonowanych pańienek płaczących z byle powodu, więc i tym razem nie zamierzałam. Przecież, do diabła, nie pierwszy raz spławił mnie facet. Nie pierwszy rzucił coś nieprzyjemnego. Nie pierwszy...

Koszmarne pomyłka. Niech to szlag. No, poryczę się jak nic.

Kiedy pierwsze łzy napłynęły do oczu, sięgnęłam po torebkę. Nie dam mu tej satysfakcji! Sięgnęłam do klamki...

– Cześć! – Karolina wpadła do pokoju i zatrzymała się w progu. – Co jest?

– Nic – smarknęłam. – Kompletnie nic.

– Przecież widzę. – Zamknęła drzwi. – Zaraz będziesz ryzczyć, a nie robiłaś tego... – Zmarszczyła brwi. – Cholera, nie płakałaś od piątej klasy. Co się stało?

Ruszyła ku mnie, ale odsunęłam się gwałtownie.

– Nie! Dotkniesz mnie i będzie fontanna. Żadnego pieprzonego przytulania!

– Magda!

– Czego? – warknęłam, bo stała tam taka ładna, długonoga i wiotka... To jej chciał Roberto. Jej by nie powiedział, że jest koszmarną pomyłką.

– Zrobiłam coś? – zapytała zdziwiona.

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie!

Cofnęła się lekko, urażona.

– Przecież nie mówię, że kręci. Co ci jest, do cholery? Odstawiaś się... – Zawiesiła głos z zastanowieniem. Nagle zrozumiała: – Facet! Cholera, facet!

– No i co? – burknęłam. Tak, znała mnie doskonale.

– Nigdy nie płaczesz przez facetów... Który to dupek? Po-  
wiem Kubie, żeby go sprął.

– Już próbował, jakoś bez rezultatów – wyrwało mi się.

Karolina otworzyła usta, ale nie wyrzekła ani słowa. Gapiła się we mnie jak cieleń na malowane wrota. I to nie malowane w ja-  
kieś słodkie kwiatuszki, tylko co najmniej w grubaśne, śmier-  
dzące krowie placki.

– Roberto? – zapytała w końcu. – Ale kiedy?

– W piątek. Można powiedzieć, że to wina twojego chłopta-  
sia. Nakręcił go, a ja byłam... ja byłam... pod... ręką. – No i się  
rozryczałam. Kuźwa! Wielkie grochy łez spływały mi po policz-  
kach, rujnując zapewne makijaż, z taką pieczołowitością nakła-  
dany kilka godzin temu. – Jestem... koszmarną... pomyłką...  
wiesz? – Sięgnęłam po chusteczki i głośno wysmarkałam nos. –  
Koszmarną. Powiedział, że koszmarną.

– Zabiję go!

– Nikt go nie będzie zabijał. Ani ty, ani Kuba, ani tatko. –  
Pokręciłam głową. – Idę do domu – dodałam bez sensu. – Jakby  
ktoś pytał. Idę do domu.

– Magda...

Przetarłam twarz dłonią, rozmazując resztę tego, czego nie  
zmyły łzy.

– Przejdzie mi. – Wzruszyłam ramionami i wyszłam.

\*

Prowadziłam odruchowo. Nie żebym nie myślała. Oj, myśla-  
łam. Właśnie solennie obiecałam sobie, że odpuszczam. Absolut-  
nie i całkowicie odpuszczam seks. I facetów. Znaczy nie żebym  
brała pod uwagę kobiety, chociaż, o Boże, pewnie byłoby łatwiej.  
Ojciec miał rację, za dużo mężczyzn wpuściłam do łóżka, po-  
cząwszy od tego nieszczęsnego wieczoru, kiedy tatko przyszedł  
za późno, aż po gościa, który uznał mnie za koszmarną pomyłkę.  
Zakochiwałam się z łatwością kici w rui. I wystarczy. Nikt mi  
więcej nie powie, że...

Kuźwa! Pomyłka.

Babka tak mnie nazwała, kiedy miałam pięć lat. Wtedy nie wiedziałam, o co chodzi. Trzy lata później, po jednej z wizyt u niej, zapytałam tatka.

– Kto ci tak powiedział? – mówił tak cicho tylko wtedy, gdy naprawdę był wściekły.

– Babcia.

– To głu... – przerwał. A potem kucnął przy mnie, położył mi dłonie na ramionach i oznajmił: – Nie jesteś pomyłką. Jesteś moją córeczką. Małą, przemyślającą Magdą Lisowską. Moim szczęściem. Nic lepszego mnie w życiu nie spotkało. Rozumiesz?

– No.

– Mówi się „tak” – poprawił odruchowo, a potem poczochnął mi włosy. – Wyglądasz jak ja. Kocham cię, dzieciaku.

Mój ojciec. Ech, że też takiego faceta nie mogłam spotkać w życiu. Że musiałam się zabijać w tym ciachu bez serca. Tym pięknym, niesamowitym w łóżku...

Nie, tak nie będziemy myśleć, Magda. Nigdy więcej.

Bella stała przy drzwiach, jak zawsze, kiedy wchodziłam, miaucząc głośno. Bez względu na to, o której bym przyszła, zawsze mój powrót kojarzył się jej z pełną miską.

– Jadłaś cztery godziny temu – zauważyłam, ale jakoś bez przekonania. Nasypałam jej suchej karmy i usiadłam naprzeciwko. – Będziesz gruba, Belka. Będziesz grubym kotem, z wielkim brzuszyskiem wlokącym się po podłodze.

– Miau!

– Nie ma co przeczyć. Zobacysz. Ale i tak będę cię kochała. Zostaniemy razem, ty i ja...

Kotka uniosła łepkę i zerknęła na mnie. Niemal widziałam niesmak w złotych oczach. Pewnie gdyby potrafiła, cmoknęłaby z obrzydzeniem, a potem nagadała mi za takie durne użalenie się nad sobą. Głupia pani. Biczuje się z powodu jakiegoś gościa. Jakby nie było tego pół świata...

– No, może i racja – przytaknęłam niewypowiedzianej kociej przyganie. – Ale widziałas go, co nie? Takiego ciacha w domu



nie miałyśmy.

– Miau...

– No wiem. – Przewróciłam oczami, a kotka w przyplywie jakiejś absolutnie nienaturalnej dla niej sympatii wskoczyła mi na kolana. Położyła się i zadarła głowę, by na mnie patrzeć. Głaskałam ją długimi, pełnymi czułości ruchami, a ona mrużyła powieki i mruczała cicho. Zupełnie jak nie ona. – Ech, Belka... Wiem. Wiem. Dobre z ciebie stworzenie... czasami.

Bella położyła łepkę na łapkach i udawała, że śpi. Odetchnęłam powoli, odganiając ponownie napływające łzy. Przyszło mi bowiem do głowy, że w obecnej sytuacji będę musiała szukać nowej pracy. Cóż, zakochałam się w szefie, bez wzajemności. I zrobiłam z nim to... z wzajemnością. Tyle że on żałuje, ja trochę też, acz z innego powodu. No i on powiedział te cholerne słowa... Nie sądzę, bym mogła tam teraz zostać. Cholera! Cholera! Cholera! Lubiłam tę pracę.

Odłożyłam drzemiącego kota na kanapę w salonie i poszłam do łazienki. Widok w lustrze prawie mnie powalił. Nieźle. Teraz powinien mnie zobaczyć Roberto. Dostałby zawału jak nic. Samą siebie śmiertelnie wystraszyłam. Patrzyłam i patrzyłam, aż ta druga, z wielkimi czarnymi cieniami pod oczami i strumykami tuszu biegnącymi od nich aż do brody, zaczęła dziko chichotać. Śmiała się tak długo, że do istniejących doszły nowe czarne ślady. Histeria w pełnej krasie.

Gdzieś w przedpokoju zawyła komórka. *Wehikuł czasu* Dżemu wyrwał mnie z szaleństwa. Westchnęłam i puściłam wodę. Zmyłam makijaż i łzy, a potem zdjęłam tę durną seksowną kieckę. Półnaga przeszłam do sypialni, gdzie ubrałam się w szorty i T-shirt. Nawet nie spojrzałam na komodę i leżący na niej telefon. Nieważne kto i po co dzwonił. Dzisiaj odpoczywam.

Znałam tylko jeden sposób, żeby dobrze to zrobić. To znaczy oprócz tego, który właśnie absolutnie i całkowicie odpuściłam.

Trekkingówkę dostałam od tatka na poprzednie urodziny. Kochałam ją prawie tak, jak Bellę. Dobra, czasami bardziej. Nie fuczała, nie drapała, nie majtała ogonem bez powodu i sprawiała, że czułam się absolutnie wolna. Była lekka, szybka, miała mnóstwo przerzutek i śliczniutki srebrno-błękitny lakier. Cudo nie rower. Zrobiliśmy wspólnie setki kilometrów, nabijałam je zwłaszcza wtedy, gdy miałam jakiś problem albo nie radziłam sobie z uczuciami. Wtedy rower był najlepszy. Tego dnia też był jedynym słusznym rozwiązaniem. Spakowałam więc mały plecak. Zawahałam się przy komórce, ale ostatecznie zostawiłam ją na komodzie.

Dzień był ciepły, chociaż z wolna zaczynało się chmurzyć. Coś tam słyszałam w radiu, że w nocy ma nastąpić załamanie pogody. Nieważne. Na razie było ciepło i słonecznie. Nie padało od wielu dni, więc i leśne ścieżki rowerowe powinny być w dobrym stanie. Minęła dwunasta, kiedy wyjechałam w kierunku Paprocan. O tej porze nie było zbyt wielu rowerzystów. Jechałam powolutku, nie spieszyło mi się. Najpierw osiedlowymi ścieżkami do jeziora. Gdy tam dotarłam, zatrzymałam się na chwilę na pomoście. Przypięłam rower do stojaka, a sama poszłam położyć się w siatkowym hamaku nad wodą. Słońce przyjemnie prażyło, a park paprocański jakby zapadł w przedpołudniową drzemkę; zamarł w ciszy i bezruchu. Tylko jedna samotna żaglówka z rozpiętym białym żaglem burzyła ten krajobraz kompletnej martwoty. Wyglądała bardziej jakby dryfowała, niż płynęła, przemieszczając się niesłychanie wolno po równej tafli jeziora. Gdzieś nade mną przemknął jakiś ptak i wydał z siebie pojedynczy, krótki krzyk. W oddali wiatr poruszał koronami drzew na małej wyspie pośród jeziora. Cisza. Spokój. Zamknęłam oczy, by po chwili pogrążyć się, wraz z okolicą, we śnie.

Obudziłam się ot tak, zupełnie jak zasnęłam, bez przyczyny, ledwie kilkadziesiąt minut później. Już było mi lepiej, ale jakoś nie chciałam wracać do domu. Bo i po co? Żeby zadzwonić do tatka i powiedzieć mu, że dałam ciała? Mam czas, powiem mu

wieczorem. Szkoda takiego ślicznego dnia, żeby siedzieć z kotem w czterech ścianach. A w Pszczynie, na ryneczku, sprzedają najlepsze lody w okolicy. Dobra, drugie co do jakości. Najlepsze są ze starej tyskiej budki z lodami. No, ale do niej miałam za blisko. Chciałam się przejechać... ale tak naprawdę przejechać.

\*

Wróciłam wieczorem, zmachana, spocona, ale jakaś taka spokojniejsza. Kot przywitał mnie w progu głośnym miauczeniem. Pogłaskałam paskudę, bo w sumie przyjemnie jest wrócić do domu i usłyszeć powitanie. Nawet takie. Tym bardziej że dziewczyna wyjątkowo nie fuknęła, nie majtała ogonem, a najwyraźniej ucieszyła się na mój widok.

Odstawiłam rower i zerknęłam na komórkę. Siedem nieodebranych i dwa SMS-y. Nieźle. Pierwsza wiadomość od Karoliny: „Żyjesz?”. Druga od ojca: „Dzwoniła Karolina. Byłem u ciebie. Zadzwoń”.

Rany Boskie! Wystarczy, że się człowiek poryczy publicznie, a pół Tychów staje na baczność.

Wybrałam numer taty.

– Cześć.

– Nareszcie! Gdzieś ty była?!

– W Pszczynie, na rowerze.

– Rzuciłaś pracę?

– Jeszcze myślę.

Przez chwilę milczał.

– Karolina ci powiedziała, co? – domyśliłam się.

– No.

– Będziesz prawil kazania?

– Po co? I tak puszczasz je mimo uszu.

– Nieprawda. Słucham cię. Tylko...

– Słyszysz i kłóćisz się, ale nie słuchasz. Nieważne. Cokolwiek postanowisz, pomogę ci. Od tego są ojcowie. Chcesz, że-

bym wpadł?

– Nie. Spoko. Dam se radę – zacytowałam Sida z *Epoki lodowcowej*. Naszej ulubionej bajki. Tym razem jednak tatko nie podchwycił.

– Dobra – westchnął. – Widzimy się jutro na obiedzie.

– Jezu...

– Nie jezuj. Raz w tygodniu powinnaś zjeść coś zdrowego. Pa!

– Pa, tatku.

Karolinie odpisałam: „Pszczyna rowerem, bez telefonu. Już OK. Zrób dobrze Kubie w moim imieniu”. Błyskawicznie odpowiedziała: „Wariatka. Kuba się cieszy. Kocham cię”.

No, ja też cię kocham, wariatko.

Puściłam wodę do wanny, wsypałam jakieś kojące sole – znów pomysł ojca, ale wbrew moim obawom całkiem trafiony – nalałam sobie kieliszek czerwonego wina i zanurzyłam się w fantastycznej kąpieli. Cudnie pachnąca, ciepła woda działała cuda. Tego było mi trzeba. Alkohol łagodnie szumiał w żyłach, tłumiąc wszelkie troski. Myślenie o jutrze przełożyłam na jutro. Oła! Pobawię się w Scarlett O’Harę; pomyślę o tym jutro.

Byłam już bliska podjęcia ważkich decyzji o odłożeniu na święty nigdy problemu z pracą, gdy rozległ się dzwonek domofonu. Belka miauknęła głośno, bo z niewiadomych powodów uważała, że to dźwięk osobiście kierowany do niej.

– Pewnie do sąsiadów, Belka. Zamknij pyszczek.

Dzwonek się powtórzył, a Bella rozwrzeszczała się już na całego.

– Dobra, wstaję. Już, no już!

Zawinęłam się w ręcznik i podeszłam do domofonu.

– Słucham?

– Wpuść mnie.

O cholera!

Dobra, pomyślałam gorzej, ale dla świętego spokoju roboczo przyjmijmy, że jednak nie przeklinam.

– Wpuść mnie, Magda – powtórzył, kiedy milczałam. Patrz-

cie państwo, udało mu się zapamiętać moje imię. Cud. – Trochę za późno udawać, że nie ma cię w domu.

Szlag! Racja.

– Wchodź – warknęłam i nacisnęłam przycisk.

Mieszkam na parterze, więc nie minęło kilka sekund, a on już stał przed drzwiami. Otworzyłam tak, jak stałam – mokra i w ręczniku. Roberto uniósł brew i przyjrzał mi się z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Brałam kąpiel – wytłumaczyłam, w sumie nie wiem dlaczego. – Po co przyszedłeś?

– Mogę wejść czy mam ci wyjaśnić w progę, żeby każdy przechodzący sąsiad mógł sobie dokładnie cię obejrzeć? – zapytał chłodno.

Nie byłam w nastroju do kłótni... jeszcze przed chwilą, ale błyskawicznie się to zmieniało.

– A co cię to...?! Jeśli zechcę...

– Wpuść mnie, do diabła, nie będę cię przeproszał, stojąc na korytarzu!

Przeproszał? Hmm...

– Właz. – Odsunęłam się, a gdy mnie minął, zamknęłam ciicho drzwi. – Daj mi minutę. Ubiorę się. Jedna koszmarna pomyłka na tydzień wystarczy, co nie?

Ta, no i powiedziałam to. A ponoć nie należę do pokutników używających biczka na własnych plecach.

– Magda... – Roberto skrzywił się, słysząc moje słowa.

– Minutę! Tym razem nie zamierzam się stroić.

Zmarszczył brwi, a potem się uśmiechnął. Cholera, znałam ten uśmieszek. Zadowolony z siebie pieprzony Wilhelm Zdobycwa. Stuprocentowy samiec. Brrrr...

Trzasnęłam drzwiami do sypialni. Bielizna, dżinsy i T-shirt. Dwadzieścia sekund i byłam gotowa. Wysłałam, ale Roberto nie czekał w przedpokoju. Stał w salonie, przy oknie balkonowym i patrzył na mój ogródek, a konkretnie na chaszczkę i trawę sięgające do kolan. No co? Zarobiona jestem, nie mam czasu na ta-

kie pierdolety. Tak więc Roberto stał tam, a mój zdradziecki kot ocierał się o jego łydki. I, cholera, nawet z tej odległości słyszałam, że gnojek mruży. Znaczy kot, nie Roberto. Głośno, gardłowo, jakby ten przystojny dupek prowadził ją prostą ścieżką rozkoszy. Oż, flądra! Nie żeby przystojny dupek nie potrafił. Oj, potrafił prowadzić prostą ścieżką rozkoszy! Po własnej kocicy spodziewałam się jednak przynajmniej minimalnej solidarności, fuknięcia jakiegoś, drapnięcia, a przynajmniej obcesowego machnięcia ogonem. Ta zaś łaśiła się... jak co najmniej ja przed trzema dniami! No wstyd!

Roberto pochylił się i wziął Bellę na rękę. Noooo... ładny taki obrazek. Nie powiem...

Magda!

– Po co przyszedłeś? – zapytałam niegrzecznie, bo fakt, że dupek pieści mojego kota, a kudłaty zdrajca wciąż mruży, nie wpłynął dobrze na moje nerwy.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Przedtem było lepiej – stwierdził miękko.

Przygryzłam usta.

– Rano dokładnie wyjaśniłeś, co sądzisz na temat takiego lepiej – odparłam cicho.

– Rano zachowałem się jak kompletny kretyn. Cały weekend myślałem, co powiedzieć...

– Cały weekend? I wymyśliłeś tylko koszmarną pomyłkę? Słabo, skarbie. Myślałam, że jesteś inteligentny.

– Ja też tak sądziłem. – Uśmiechnął się krzywo i podszedł do mnie. Odruchowo zrobiłam krok wstecz, a on przestał się uśmiechać. – Karolina powiedziała, że płakałaś.

O cholera! Znowu roboczo przyjmijmy, że nie przeklinam.

– Przyszedłeś, bo Karolina ci kazała? – wyszeptalam. Cały żal błyskawicznie zmienił się we wściekłość.

– Nikt mi nic nie może kazać, blondasku. – Znów się uśmiechnął. – A Karolina wpadła do mnie, nawrzeszczała i stwierdziła

to, co i tak wiedziałem. Że zachowałem się jak kawał... Użyła jakiegoś polskiego słowa, a potem głównie krzyczała, i to po polsku, więc nic nie zrozumiałem. Nie. – Podniósł rękę. – Ty już nie musisz się wściekać. Widzę, że chcesz. Nie przyszedłem się kłócić, przyszedłem przeprosić.

– Słabo ci to idzie – wycedziłam przez zęby, bo zaciśnięte szczęki jakoś nie chciały się rozewrzeć.

Westchnął i odłożył kota. Bella miauknęła rozczarowana i zagapiła się na Roberto rozkochanym wzrokiem. No, cholera, wypisz wymaluj ja. Głupia pipa.

– Przepraszam. – Roberto podszedł, a ja tym razem się nie cofnęłam. Boże, pachniał... cudownie. Po prostu. – Głupio powiedziałem. Nie chciałem cię zranić.

No, szło mu coraz lepiej. Zwłaszcza gdy patrzył tymi nieprawdopodobnie niebieskimi oczami, stojąc dwa kroki ode mnie. Gdybym wyciągnęła rękę... No, ale nie wyciągnęłam.

– Naprawdę mi przykro – przyznał cicho. – Nie cofnę tego, ale przepraszam.

Usiadłam na kanapie. Jakoś nie wiedziałam, jak zareagować, więc tylko patrzyłam.

– Magda?

– Co?

– Masz zawsze sporo do powiedzenia...

– Ano mam, ale powalona twoją elokwencją, wolę milczeć.

– Nadal jesteś zła?

– A czego oczekiwałeś? Przychodzisz, bo Karolina cię wysłała, i myślisz, że ot tak...

Zaklął po włosku i przestał się uśmiechać.

– Wkurzasz mnie, dziewczyno. Serio myślisz, że Karolina mogła mnie do czegoś zmusić?

– A co mam myśleć? Sam mówiłeś, że na ciebie nawrzeszczała. Oboje wiemy, że masz do niej słabość. Jakoś przed rozmową z nią nie przeproszałeś. Przespałeś się ze mną, milczałeś

przez dwa dni, a potem nawrzucałeś mi od pomyłek. I dopiero piękna Karolina musiała się pojawić, żebyś zrozumiał...

Cofnął się o krok, mrużąc oczy. Chyba przegiełłam. Przecież kocham Karolinę. Naprawdę. Skąd więc ten jad?

Kuźwa! Jestem zazdrosna! Głupia, głupia Magda.

– Jesteś zła o Karolinę? – zapytał. No tak, bystry chłopiec.

– Jestem zła na siebie. Idź już.

Taaa... i jeszcze się rozryczę. Już mi głos drży. Jasna cholera! A facet zwieje, aż się będzie kurzyło. Liczył na szybki numer, a dostała mu się histeryczka z pełnym wachlarzem emocji.

Roberto usiadł obok, a potem przyciągnął mnie do siebie. W pierwszej chwili szarpnęłam się, ale w sumie to było całkiem... całkiem przyjemne.

– Ech, dziewczyno. – Pogłaskał mnie po mokrych włosach.  
– Straszna z ciebie jędzka.

– Nie widziałeś nawet połowy – wyszeptalam.

– Już się boję. – Zaśmiał się cicho. – Będziesz płakać?

– Ja. Nigdy. Nie. Płaczę – oświadczyłam twardo. – Możesz mnie już puścić.

– Uhm... – wymruczał. – Ładnie pachniesz i jesteś taka...  
– Jego oddech łaskotał mój kark, a dłonie powoli sunęły po plecach. Już od czasu, kiedy tatko przyszedł za późno, wiedziałam, do czego zmierza takie sunięcie. Przez trzy uderzenia serca – były trzy, liczyłam – nurzałam się w tym błogostanie, wdychając zapach supersamca. Później rozsądek zwyciężył. Szarpnęłam lekko i wysunęłam się z objęć. A to niełatwe, bo Roberto... O Boże! Pragnęłam tylko zerwać z niego tę koszulę i...

No, ale się odsunęłam. Tatko byłby dumny. Magda Lisowska – dzielna kobieta. Niestabilna emocjonalnie, cholernie napalona wariatka, ale dzielna.

– Coś się zmieniło od rana? – zapytałam chłodno.

Wyglądał na zaskoczonego. Więcej, wyglądał jak bratanek Karoliny, kiedy Jasiak z wrzaskiem powstrzymał go przed gła-



skaniem warczącego pitbulla. Jak dzieciak niepojmujący, dlaczego nie dają mu się pobawić.

Trzymaj łapki przy sobie, Magda. Nie daj się nabrać. Boże, jakie to trudne!

– Coś się zmieniło? – powtórzyłam, a potem wstałam z kanapy. Taaa, kiedy było trzeba, potrafiłam włączyć zewnętrzną lodóweczkę. Bez pudła.

Pokręcił głową i sięgnął po kota. Przez chwilę milczał, unikając mojego wzroku, i głaskał Belkę. Zdrajczyni mruczała gardłowo, mrużąc oczy i prężąc się pod pieszczotą. Ot, rozumiałam ją. Cholera, jak nic ją rozumiałam.

– Potrzebuję asystentki – odezwał się wreszcie Roberto.

Hę?!!! Że tak elokwentnie zapytam.

– Kogoś, kto pomoże mi ogarnąć większość spraw, zna rynek, potrafi dogadać się z tutejszymi i z zagranicznymi dostawcami.

Powtórzę: hę? Mój wyraz twarzy był chyba równie inteligentny, co to pytanie, bo Roberto westchnął. Odłożył kota i podszedł do mnie.

– Nie pozwolisz mi zmienić tematu, prawda? – Kiedy nie odpowiedziałam, sapnął cicho i wyjaśnił: – Najwyraźniej tamto nie było tylko efektem alkoholu i adrenaliny. Cóż, jesteś bardzo zmysłową kobietą, a ja miałem... trochę przerwy. Twoja bliskość... działa na mnie. Nie chcę cię znowu przeproszać ani tym bardziej obrazić. I nie lubię, kiedy kobiety przeze mnie płaczą...

Usłyszałam z tego wszystkiego tylko „działa na mnie”. Fajnie.

– Magda?

– Spokojnie, nie będę płakać. – Uśmiechnęłam się. Przecież powiedział, że działał, nie? – W takie przeprosiny wierzę. Seks był niesamowity, Roberto. Najwyraźniej jednak wystraszyłeś się, że oczekuję po nim oświadczyn, i dlatego byłeś taki... obcesowy rano. Nie martw się, nie liczę na pierścionek. Oboje jesteśmy wystarczająco dorośli, żeby przejść do porządku dziennego nad jedną szaloną nocą, prawda?

Rozdziawił usta i gapił się, jakby widział mnie pierwszy raz.

No, to teraz już dwa zero dla Magdy. Wyrabiasz się, dziewczyno.

– To co z tą asystentką? – Usiadłam i założyłam nogę na nogę w pozie wyrafinowanej kobiety... Niestety efekt zepsuła paskudna kocica, która, gdy po nią sięgnęłam, pokazała zęby i zwiała. Małpa nie kot.

Minęło jeszcze kilka sekund, zanim Roberto też się uśmiechnął. Zmysłowo, leniwie... Cholera! Zawsze kiedy tatko ćwiczył taki uśmieszek na jakiejś pannie, miałam z tego niezły ubaw. Teraz zrobiłam szybki rachunek sumienia i w myślach przeprosiłam te wszystkie kobiety. Mój gość usiadł tymczasem naprzeciwko mnie, nie przestając się uśmiechać. Wyluzowany i seksowny tak, jak tylko on potrafił.

– Jak mówiłem, szukam asystentki, a twoje dotychczasowe stanowisko pozwala sądzić, że będziesz idealna. Co prawda myślałem o kimś, kto włada również włoskim...

– Zaproponowałeś Karolinie, a ona odmówiła? – domyślałam się.

Uśmiech Roberto zgasł. Supersamiec spiął się, zacisnął szczęki i chyba liczył w myślach.

– Zaproponowałem – potwierdził w końcu. – Ostatecznie ona jedyna w firmie mówi po włosku.

Hmmm... powiedzieć mu? Nie powiedzieć?

Kiedy Karolina miała piętnaście lat, przyjechała do niej jakaś koleżanka z Włoch. Strasznie mnie wkurzało, że gadają między sobą, a ja nie rozumiem. Raz się nawet poryczałam. Tatko poradził wtedy, żebym tę złość spożytkowała na naukę języka. Tak też zrobiłam. Uczyłam się zaciekle, aż czytanie i oglądanie po włosku przestało być dla mnie problemem. Ot tak, bo lubię się uczyć. Nie przyznałam się Karolinie. Nie żebym miała przed nią tajemnice. Po prostu się nie złożyło. Za to w CV napisałam. Najwyraźniej nikt nie zauważył.

Mogłabym mu teraz powiedzieć, ale jego oczywiste łgarstwo, że zaproponował Karo stanowisko tylko z powodów językowych, za bardzo mnie ubodło.

– Jestem opcją numer dwa czy jeszcze niżej? – zapytałam spokojnie.

– Lubisz utrudniać? – Uniósł brew i znów się uśmiechnął.

– Taka pasja.

– Jesteś opcją numer dwa. Z podwyżką, samochodem służbowym, nowym biurem, częstymi delegacjami. Zwykle w moim towarzystwie. Co ty na to?

Tak! Tak! Tak!

– Przemyślę.

Milczał, ale miał przy tym wyraz twarzy niepozostawiający wątpliwości, że ni cholery nie wierzy w mój luz i zna już wynik tych moich przemyśleń.

– Powiedziałam, że przemyślę – powtórzyłam dobitnie.

– Przecież nic nie mówię.

– Ale patrzysz.

– Ostatnio nie miałem czasu, żeby się przyjrzeć. – Mrugnął. Oż, padalec.

– Cóż, teraz możesz. Proszę bardzo. – Rozłożyłam się na kanapie i uśmiechnęłam słodko. – To wszystko, co możesz dzisiaj. Popatrzeć sobie.

Zaśmiał się nisko, zmysłowo, a potem wstał, podszedł błyskawicznie i cmoknął mnie w czoło. To był pocałunek, jaki pomarszczony dziadzio składa na główce wnusia albo jakim bratanek Karoliny darzy obojętną mu ciocię, a ja i tak cała się spięłam. Cóż, zawsze to jednak jego usta na mojej skórze.

– Jesteś zabawna, dziewczyno. Już się cieszę. Wyglądasz na zmęczoną. Wyśpij się. Musisz być wypoczęta, bo potrafisz być bardzo wymagający. – Znów mrugnął, a ja chyba się zarumieniłam. Nie byłam pewna, czy mówi tylko o pracy.

Wyszedł bez pożegnania, a ja wciąż siedziałam w tej samej pozycji i z tym samym głupim uśmieszkiem.

Pikantnie po włosku  
Copyright © Gosia Lisińska  
Copyright © Wydawnictwo Inanna  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie trzecie, Bydgoszcz, 2024  
książka ISBN 978-83-7995-798-9  
ebook ISBN 978-83-7995-799-6

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski  
Redakcja: Iga Wiśniewska  
Korekta: Małgorzata Tarnowska  
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski  
Projekt okładki: Ewelina Nawara  
Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-453 Bydgoszcz  
[sekretariat@inanna.pl](mailto:sekretariat@inanna.pl)  
[www.inanna.pl](http://www.inanna.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarnia [www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)